

## **Dariusz Karłowicz: Modernizacji nie da się skserować**

Kseromodernizatorzy mają imponujący rozmach w swych jeremiadach. Zbudować trzeba wszystko od początku. Wszystko należy zmienić – elity, obyczaje, normy. Są naburmuszeni, obrażeni, dotknięci do żywego! Mity należy wyrzucić na śmietnik! Religię rozmiękczyć! Obyczaj rozwodnić! Dumę zastąpić wstydem, a wspomnienia chwały wspomnieniami hańby! Wszystko to brzmi pięknie, zwłaszcza po niemiecku; tyle, że jest bezsensowne. Przeczytaj tekst Dariusza Karłowicza w najnowszym wydaniu tygodnia „Teologia Polityczna Co Tydzień”: Modernizacja. Polski projekt.

Czy zachodzi konieczność unowocześnienia państwa i wspólnoty politycznej? Tak! Co do tego panuje zgoda. Czy jednak – jak często słyszymy – nie brakuje nam potencjału własnego (zarówno potencjału, jak i możliwości jego pobudzenia – mówiąc po arystotelesowsku: i możliwości, i aktu)? Innymi słowy, czy Polskę stać na modernizację respektującą, więcej – wykorzystującą jej swoistość? Czy to nie mrzonka? Czy postulat modernizacji odwołującej się do podmiotowości kulturowej i politycznej nie jest na wyrost? Tu zgody już nie ma, a w diagnozach przeważa pesymizm, dodajmy – najczarniejszy pesymizm. Oddając sprawiedliwość tej postawie, trzeba powiedzieć, że stoi za nią wiele dobrych racji. Problemem nie jest jednak spór o to, czy Polska A.D. 2009 „zachwyca” – bo „nie zachwyca”. Problem w tym, że dyktowane przez pesymistów rozwiązania są w istocie

przeciwnskuteczne. Jeśli nie jest po prostu tak, że przyczyniają się do marszu wstecz, że to właśnie między innymi one spowolniły polskie przemiany, to w każdym razie z pewnością nie zbliżają nas do celu.

Poczucie konieczności modernizacji uruchamia instynkt imitacyjny. To nie nowość. Żona modna czy Tadeusz Kroński to różne – raz zabawne, częściej straszne – wcielenia tej samej historii. Jednak kserokopiarka[1] potrzebuje mocy! Pokłonu wobec mocy! Niskiego pokłonu przed siłą, która ma przemienić i zbawić. Świadomie mówimy tu o pewnym żarliwym mistycyzmie imitatorstwa, o jego *misterium tremendis* – bo jest to rodzaj postawy religijnej, która miewa swoje polityczne konsekwencje w postaci służalstwa czy nawet zdrady (*vide* Kroński i staliniści), ale często też występuje w postaci kultu czysto duchowego, utrwalonego w rodzaj grymasu formy *contemptus mundi*. Nic dziwnego, chodzi wszak o kult mocy tak radykalnie transcendującej porządek ziemski (polski), że nie można jej opisać inaczej niż językiem apofatyki, a w tym wypadku – żarliwej negacji wszystkiego, co rodzime. Nawet jeśli zbawcę nazywa się czasem imionami przywodzącymi na myśl jakieś zjawiska empiryczne (Europa, Zachód, Petersburg, Moskwa, Berlin czy Wiedeń), to przecież faktycznie nie przypomina on w niczym tych rzeczywistości, o czym wie każdy, kto zna je z bezpośredniego obcowania (choć pretensje do empiryczności będą się tu zawsze pojawiać).

Kserokopiarka posługuje się techniką fotograficzną, ale nie fotografuje rzeczywistości, tylko teksty – teksty o cudzych sprawach, marzeniach i problemach. Kserując, stoimy plecami do otaczającego świata – przodem do kserokopiarki, tyłem do wiernych. Polskę widać tu tylko w kontekście zagranicznych opinii na jej temat; pojawienie się złej opinii jest najstraszniejszą rzeczą, jaka może się zdarzyć. Kserokopiarka nie

dostarcza materiału do opisu rzeczywistości, która ma ulec zmianie. Dlatego też w jej opisach, wychodzących spod piór członków tego stronnictwa, dominuje forma lamentacji. Spośród gatunków dających szansę proroczego rozmachu jest przecież jedynym, który pozwala bez nadmiernego wysiłku uzyskać wrażenie pewnego związku z rzeczywistością. Żeby ją uprawiać (lamentować), wystarczy wiedzieć, że świat (tu: Polska) jest zły, wsteczny, ciemny – i nie czuć potrzeby wdawania się w dalsze subtelności.

Spór z kseromodernizatorami to najpoważniejszy bodaj spór III Rzeczypospolitej. Po tym, jak szczęśliwie skończył się etap modernizacji peerelowskiej pojawiła się gwałtowna i dobrze zrozumiała potrzeba równania do Europy. Wiele i trafnie pisywano wówczas o niebezpieczeństwach bezmyślnej imitacji, o potrzebie krytycznego namysłu nad przyjmowanymi wzorcami, a przede wszystkim nad sposobami dostosowywania pewnych rozwiązań do warunków polskich. Daremnie. Wprowadzony z ogromną brutalnością dualizm „Europa-zaścianek” definitywnie zamykał dyskusję o „polskiej drodze” (chwała Bogu, tylko dyskusję, bo modernizacja i tak szła swoją, to znaczy polską drogą). Sytuacja powstała po upadku komunizmu oraz towarzyszący jej klimat końca historii nie przyczyniały się do pogłębiania kwestii możliwych rozwiązań alternatywnych wobec jednorodnego – jak chciano wierzyć – wzorca i punktu dojścia. Klęska komunizmu, wizje Francisa Fukuyamy, neoficki zapal rodzimych architektów – to tylko niektóre impulsy pogłębiające millenarystyczny rys polskiej transformacji, opartej na swoiście religijnej wizji bezalternatywnej drogi przemian, na kulcie pewnego, wprawdzie niewyraźnego, ale nieznoszącego sprzeciwu wzorca, który musi zostać urzeczywistniony bez najmniejszych zmian, a z pewnością bez żadnych dyskusji. W kształtowaniu tego duchowego klimatu specjalną rolę pełniła – co rozumiały – grupa natchnionych proroków transformacji, tak zwanych

ekspertów – ludzi przedstawianych jako posiadający rodzaj bezpośredniego kontaktu z arcywzorcem. Eksperci nie byli po prostu specjalistami, którzy spośród różnych możliwych rozwiązań prezentowali te – ich zdaniem – najlepsze, lecz prorokami, którzy obwieszczali rozwiązania jedyne, niepodważalne, mądre i dobre. Choć dziś już trudno w to uwierzyć, nie można było nie zgadzać się z nimi, nie stając się tym samym – na mocy samej logiki – kimś głupim i złym. Arogancka obsługa kserokopiarki zabiła możliwość upodmiotawiającej dyskusji o polskiej drodze przemian. Kto nie był kapłanem, nie miał nic do gadania, a wierni mieli słuchać pod groźbą, że okaże się, iż nie radzą sobie z wielkim darem wolności, że wychodzi z nich *homo sovieticus* albo zaściankowy prowincjusz, ciemniak, oszołom, nacjonalista, ksenofob czy po prostu cham.

Nie będę przypominał zmieniających się typów kserokopiarek. Deklaratywny kseroliberalizm w ekonomii (tylko deklaratywny, bo w praktyce wychodził z tego raczej kapitalizm polityczny) wspierało najpierw wojownicze polityczno-kulturowe ksero francusko-laicko-oświeceniowe. Wątła i rozdrobniona opozycja intelektualna nie była zresztą wiele lepsza. Spór rzekomego neutralizmu z kserokonserwatyzmem (bezrefleksyjnie kopiowanym neokonserwatyzmem) wydawał się jedyną wyraźną linią sporu, toczonego w latach dziewięćdziesiątych na forum (lub może raczej na seminariach, bo w czasach monopolu informacyjnego tych lat neokonserwatyści rzadko pojawiali się w mediach). Dziś sytuacja zmieniła się o tyle, że mamy kilka mniej lub bardziej wpływowych centrów usług ksero. Szczególnie dobrze widać kserokopiarnię niemiecką, która w polityce europejskiej obsługuje berlińską agendę porwania Europy, a w kulturze – plugawy wariant tabloidalnej, nihilistycznej ochlokracji (dla bardziej wybrednych sprzedawany w cienkiej tradycjonalistycznej polewie zaprawionej populizmem dla

klasy średniej) oraz, po drugie, kserokopiarnię nowolewicową, o której ciągle trudno cokolwiek powiedzieć, bo znajduje się ona we wczesnej fazie odkrywania, że istnieje coś poza ksero; nie brakuje jednak i pomniejszych – na przykład libertariańska, socjaldemokratyczna czy chadecka.

Tak więc cel, wzór, recepta, najważniejsze składniki mają zostać dostarczone z zewnątrz. Formę nadać może tylko nacisk idący spoza układu odniesienia. Sławna kolba Krońskiego to tęsknota za pieczęcią, która polskiej amorficznej rzeczywistości nada pożądaną kształt. Głównym problemem kseromodernizacji nie jest nawet abstrakcyjność wzoru (choć to też jest kłopot), lecz fakt, że inicjacja jest tu najczęściej inicjacją we wrogość wobec wspólnoty. Dlatego modernizatorzy tak często kończą jeśli nie terrorem (ku temu nie zawsze istnieją techniczne możliwości), to co najmniej próbą stygmatyzacji i wykluczania wsteczników, zamykaniem dyskusji, pogardą i przede wszystkim przemożną chęcią niszczenia tego, co zastane – słowem, walką z objawami tożsamości i podmiotowości. Kseromodernizacja zakłada anihilację, bowiem koślawa natura zastanej rzeczywistości nie nadaje się do przeróbki; wymaga ona unicestwienia, a co najmniej osłabienia, rozluźnienia czy rozpuszczenia w jakiejś lepszej rzeczywistości. Tożsamość, podmiotowość w swej obecnej postaci jawią się jako przeszkoda, bariera, którą trzeba przełamać. Najpierw anihilacja, potem modernizacja; najpierw niszczymy, potem kserujemy. Z tej perspektywy Polska jawi się jako ta, której trzeba dać nowoczesność wbrew niej samej, trzeba jej ofiarować podmiotowość, tchnąć nowe życie, na nowo ją stworzyć – tylko czy to nie jest ambicja doktora Frankensteinia? Czy możliwa jest polityczność *ex nihilo*? Czy ta nowa podmiotowość jest w ogóle możliwa, czy nie będzie życiem pozornym? Czy – spytajmy – będzie to kolonializm, czy rozwój?

Oczywiście centralnym problemem jest, jak zwykle, skandaliczna polska religijność. Cóż za wstyd! Co za utrudnienie! Na szczęście pod ręką mamy teorię sekularyzacji. Jak to określił Bronisław Wildstein, komentując publicystyczną wersję tej teorii, głosi ona, że warunkiem budowy autostrad są puste kościoły i analogiczny do europejskiego poziom rozwodów. Że teoria ta nie jest już w mocy? Została sfalsyfikowana, właśnie w Polsce? Cóż z tego! W elitach modernizatorów nigdy nie zabraknie zwolenników tezy, iż ziemia jest płaska (zwłaszcza gdy w ksero dają ciągle Ptolemeusza). W szklanej bani wciąż powtarza się tę mantrę (proszę zajrzeć do dzienników). Wbrew faktom, wbrew badaniom, wbrew oczywistości. Osłabić Kościół, rozmontować katolicyzm! Każdy, kto zachowuje minimalny choćby kontakt z rzeczywistością, widzi, że pomysł na modernizację antykatolicką może powstać wyłącznie w głowach mieszkańców szklanej bani – bani zrobionej z bardzo grubego, nieprzezroczystego szkła. Trzeba nie opuszczać Krakowskiego Przedmieścia, żeby nie tego nie widzieć. Gdzie rodzi się polska etyka pracy, jeśli nie w konfesjonale; gdzie znalazła swój dom współczesna solidarność, jeśli nie w inspirowanych chrześcijaństwem lub wprost chrześcijańskich instytucjach dobroczynnych, kulturalnych i samopomocowych; gdzie ziarna zniszczonego przez PRL republikanizmu odradzają się tak bujnie, jak wokół parafii (często będącej zresztą jedynym centrum krystalizacji podmiotowości małych wspólnot)? Że wszystko to mało? Zgoda! Że wszystko to ciągle słabe i nie na miarę marzeń? Oczywiście! Że kulawe i niedoskonałe? Jak najbardziej! Czy istnieje jednak jakiś inny ośrodek, który mógłby konkurować z Kościołem? Że na Zachodzie wygląda to lepiej? Ale z czym się porównujemy? Z krajami, przez które nie przeszedł kataklizm dwóch totalitaryzmów? Wolne żarty. Porównajmy się z krajami, w których komuniści z podobną furią niszczyli tkankę społecznej etyki i obyczajów. Z Rosją, Litwą, Białorusią,

Ukrainą, Słowacją, Czechami, Rumunią, Bułgarią... Czy rzeczywiście w Polsce jest tak strasznie? Porównajmy dane. Albo rzućmy okiem na badania pokazujące pozytywną korelację między deklarowaną religijnością a postawami sprzyjającymi rozwojowi rynku, demokracji, zaangażowaniu obywatelskiemu. Wszędzie widać to, czego się nie chce przyjąć do wiadomości. Chrześcijaństwo osadzone w mocnych, obdarzonych zaufaniem instytucjach polskiego Kościoła wspiera budowę silnej, nowoczesnej, ale i podmiotowej Polski.

Cztery i pół miliona ludzi odwiedzające co roku Jasną Górę to sól nowoczesnej Polski. Trudno przyznać to ludziom wyrastającym z tradycji postoświeceniowej. Jeśli wierzyć badaniom, ich walka z Kościołem nie pomaga modernizacji. Przeciwnie. Być może w istocie nie o modernizację tu chodzi, ale właśnie o Kościół. Antyklerykalny żar wielu krytyków pozwala zaryzykować hipotezę, że niejeden z nich zgodziłby się nawet na Polskę biedną, byle tylko nie była katolicka. Taka wizja modernizacji jest nie tylko niemądra, ale i przeciwnskuteczna.

Kseromodernizatorzy mają imponujący rozmach w swych jeremiadach. Zbudować trzeba wszystko od początku. Wszystko należy zmienić – elity, obyczaje, normy. Straszne są wieś i miasto, straszny proboszcz, straszna jest polska rodzina z ojcem-tyranem i matką zmuszaną do rodzenia dzieci, ale najstraszniejszy jest zabobon: straszni są ciemni ludzie modlący się do Najświętszej Pani, straszni są pielgrzymi do Częstochowy, straszne są dzieci indoktrynowane na lekcjach religii przez strasznych katechetów, straszny jest przygnieciony religią obyczaj – wszystko. Modernizatorzy są z nas niezadowoleni. Są naburmuszeni, obrażeni, dotknięci do żywego! Mity należy wyrzucić na

śmietnik! Religię rozmiękczyć! Obyczaj rozwodnić! Dumę zastąpić wstydem, a wspomnienia chwały wspomnieniami hańby! Wszystko to brzmi pięknie, zwłaszcza po niemiecku; tyle, że jest bezsensowne.

To nasza rzeczywistość. Uruchamiają ją nasze mity, zaludniają nasi umarli, do góry podnosi modlitwa do Częstochowskiej Paniienki. Stąd siła i impet potrzebne, by budować nowoczesne instytucje, kulturę i państwo. Nie ma innego źródła mocy, inspiracji, innego tworzywa, innego języka, którym można opowiedzieć wspólne cele i metody ich realizacji! Modernizacji nie da się skserować. Można ją tylko zbudować. Dlaczego? Ponieważ można ją stworzyć tylko z materiału realnie istniejącego, a nie wyimaginowanego; materiał, wizja celu, zapał i impuls muszą pochodzić z wnętrza wspólnoty. Nowoczesność musi być własna, albo wcale jej nie będzie. Jeśli mieszkańcy szklanej bani nie rozumieją, skąd idzie ta siła, niech (w celach czysto badawczych) wybiorą się na pielgrzymkę do Częstochowy. Reklamowany interes: glajchszaltacja w zamian za dobrobyt i sprawne państwo jest fikcją. Parafrazując żart Wildsteina o sekularyzacji i autostradach, można powiedzieć, że autostrady w Polsce powstaną nie wtedy, gdy opustoszeją kościoły, ale wtedy, gdy Polacy uznają, że autostradami wygodniej będzie chodzić na Jasną Górę.

Czy niemożliwy jest zatem wariant kolonizacji? Możliwy, choć niezbyt realistyczny. Zresztą w niektórych obszarach imitacja nie wydaje się niczym szkodliwym. Czym innym jest prasa, media, polityka, w których to obszarach suwerenność stanowi istotny element racji stanu, a czym innym technologie, nauka czy finanse (choć i tu powinniśmy rozwijać się planowo i energicznie). Uczmy się finansów od Niemców, od Francuzów funkcjonowania instytucji państwowych, od Anglików systemu partyjnego, a samoorganizacji od Amerykanów – ale języka

kultury i polityki uczmy się od swoich umarłych. A to, co mówią oni w sprawie kolonizacji, jest jasne. Dla tych, którzy – jak czytamy nad drzwiami Muzeum Powstania Warszawskiego – „chcą być wolni i wolność sobie zawdzięczać”, kolonizacja nie jest interesująca.

Na koniec niedługi wierszyk odnaleziony niedawno w papierach należących wcześniej najprawdopodobniej do Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Mimo iż niejasna jest data i okoliczności jego powstania, a kwestia autorstwa pozostaje ciągle przedmiotem sporu (znaleźli się badacze, którzy kwestionują fakt, że to małe arcydziełko wyszło spod pióra mistrza) – rzecz wydaje się godna uwagi. Wiersz opatrzony został dedykacją. Niestety, dość nieczytelną. Życzę miłej lektury.

Tekst ukazał się w piątym numerze „Teologii Politycznej”

[1] Partia kserokopiarki to jedno z najstarszych polskich stronnictw polityczno-duchowych. Hipotezę, że stronnictwo to istniało już za Mieszka I, należy uznać za wysoce prawdopodobną (zwolennicy tego stronnictwa proponowali wówczas chrzest z rąk cesarza). Partia ta występowała również u Jaćwingów i Prusów, wśród których hasłem „rozpuszczenia się w Europie” zdobyła miażdżącą przewagę nad partiami stawiającymi na podmiotowość tych plemion. Po raz pierwszy wykryta przez redakcję „Teologii Politycznej” (w tekście *JP2 w krainie liliputów* z 2006 roku, gdzie pisaliśmy, że herbem polskich liliputów jest kserokopiarka, a odruch kserowania zastępuje odruch myślenia), doczekała się szeregu dalszych opracowań. W jednym z nich (studium

opracowanym przez redaktorów „Frondy”) znalazło się określenie „kserokonserwatyzm”. Bardzo przypadło nam do gustu. Stąd dalsze wariacje: kseromodernizacja, kserolewica etc.